NUMER 15. DNIA 9. KWIETNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

MARJAN GUMOWSKI.

PORTRETY KOŚCIUSZKI.

Kościuszko — to postać dla każdego najsympatyczniejsza ze wszystkich bohaterów polskich. Pociąga on nas nie tylko tą wielką ideą, za którą walczył, celami, do których dążył, ale także pięknością charakteru i szlachetnością serca, która mu jednała wszędzie gorących wielbicieli. Między szeregiem bohaterskich partyzantów konfederacji barskich a zwartą kolumną pięknych rycerzy, owianych legendowym urokiem epopei napoleońskiej, stoi Kościuszko, w niczem do jednych lub drugich niepodobny. Stoi on na przełomie dwóch epok, biorących się potężnie za bary i pragnących zwycięstwa za każdą cenę, a jednak żadna z nich nie wycisnęła na nim swego piętna.

Przypatrzmy się fizjognomjom konfederatów barskich n. p. Pułaskiego, Sawy i innych. Duch czasu i pojęcia ówczesne wolności szlacheckiej wyrzeźbiły każdemu z nich wspólne rysy: buńczuczna postawa, zawadjacka mina, śmiałość i bohaterstwo do ostatnich granic, czupryna, wąsy i strój narodowy, są to wspólne cechy towarzyszy Pułaskiego, wyrosłych jeszcze w ideach starych, z tem pojęciem swobody szlacheckiej i honoru narodowego, w obronie którego zerwali się do walki. Zupełnie inne rysy twarzy i charakteru mamy u postaci z następnej napoleońskiej epoki. Rysy potężne, jakby z marmuru ręką Thorwaldsena wykute, regularne, chociaż nieco grube, jakby zastosowane przez naturę samą do owych bojów, trwających całe lat dziesiątki, gdzie zawadjacka mina musiała ustąpić przed odwagą, hardość przed rygorem wojskowym, gdzie strój narodowy musiano porzucić dla uniformu francuskiego i we wszystkiem musiano się stosować do rozkazu, woli i upodobań wielkiego i przez naturę bogato uposażonego cesarza. Przeglądając portrety z czasów napoleońskich nie podobna oprzeć się zdumieniu na widok tylu pięknych twarzy, męskich postaci i regularnych kształtów, że wspomnimy ks. Józefa Poniatowskiego, jen. Kniaziewicza, Krasińskiego, Kozietulskiego etc. Cech tych darmo szukalibyśmy u Kościuszki, duch czasu nie tknął rylcem jego twarzy.

A może znajdziemy je wśród tych, którzy nie należeli do konfederacji barskiej, a na czasy napoleońskie byli za starzy? Jest to prawie osobny świat, trzymający się dworu królewskiego, rozbawiony i wesoły a ilustrowany tak wiernie przez Bacciarellego, Grassiego, Lampiego i innych artystów na dworze warszawskim. Czyż jednak w ich pięknych regularnych rysach, w ich ustach jakby do pocałunku złożonych, w słodkich oczach i prostym nosie znajdziemy coś wspólnego z rysami Kościuszki? Nigdy.

I w tem zapewne, że rysy naszego bohatera nie były w niczem podobne do żadnego z ówczesnych typów, a także że epoki nadające charakterystyczne piętno twarzom następowały stosunkowo szybko po sobie, widzimy główną przyczynę tak rozmaitego pojmowania rysów Kościuszki przez artystów.

Każdy malarz jest dzieckiem swej epoki, swego czasu i każdy w duchu swego czasu pojmuje i maluje nasuwające się mu przedmioty, lub przedmioty z lat ubiegłych. Nic więc dziwnego, że w ciągu całego wieku, bo do tej chwili coraz nowe pojawiają się jeszcze portrety Kościuszki, każdy artysta na swój sposób chciał przedstawić rysy wielkiego wodza i każdy prawie mimowolnie wycisnął na jego portrecie znamiona swej epoki.

Dla badacza, historyka a nawet dla samego artysty, pragnącego odtworzyć sobie postać bohatera nastręczają się z tego powodu niewymowne trudności, znamy artystów, którzy chcąc stworzyć pomnik Kościuszki objeżdżali całą Europę i Amerykę w celu zwiedzenia różnych zbiorów. Chcieli zobaczyć jak najwięcej oryginalnych portretów, aby przez to wytworzyć sobie w umyśle jego postać i utrwalić pewne charakterystyczne znamiona jego rysów. Większa część naszych artystów, tak malarzy, jak rzeźbiarzy, poprzestaje na stalorycie Oleszczyńskiego i uważa go dla rysów Kościuszki miarodajnym. Jest to jak wykażemy zupełnie błędnem, choćby dlatego, że sztych Oleszczyńskiego powstał dopiero w 1829 r. Sądzę tedy, że praca moja nie będzie bez pożytku. Nie silę się w niej na opisanie rysów twarzy na każdym portrecie, bo tego opisać nikt nie potrafi. Główną jednak wagę kładę na reprodukcje oryginalnych portretów, gdyż te jedynie mogą nam dać wyobrażenie o rysach tak nam drogich.

I. Portrety z przed 1794. r.

Ks. Izabella Czartoryska, Józef Grassi i jego portrety w zbroji.

W czasie kiedy Kościuszko wystąpił na widownię publiczną w Polsce nie był tak bardzo znany, iżby artyści dobijali się go portretować. Nie pochodził ani ze znakomitego rodu, ani nie był tak nadzwyczajnie pięknym, jak król Stanisław August, lub jak młody ks. Henryk Lubomirski. *) Wstępując do szkoły kadetów w Warszawie mógł mieć wtedy 18 lub 19 lat zaledwo i niczem zrazu od swych kolegów się nie wyróżniał. Dlatego też nie wydaje mi się prawdziwem twierdzenie prof. Korzona, **) jakoby już wtedy miał powstać ten portret Kościuszki z wzniesioną do góry oburącz szablą i modlącym wyrazem twarzy, tak często później kopiowany. Ma to przedstawiać według Szan. Profesora przysięgę, którą każdy uczeń szkoły kadetów po pierwszym roku pobytu składał na wierność królowi i Ojczyźnie. Jest to jednakże wręcz nieprawdopodobne, aby już wtedy portretowano młodzieńca 20-letniego, skromnego, nie odznaczającego się niczem więcej prócz może pilnością, nie posiadającego za sobą ani protekcji ani znakomitych stosunków. Dlaczegoż wreszcie nie znamy innych uczniów w ten sposób portretowanych, którzyby nawet wówczas swem stanowiskiem większą do tego mieli sposobność? Mimo ogromnej masy portretów możemy stwierdzić, że ówcześni artyści robili tylko wybitne osobistości: króla, dopiero co na tronie zasiadłego, hetmanów, książąt, wojewodów i ich rodziny. Dopiero wtedy bowiem, w latach 1765 i 66, zaczyna się w Warszawie ten ruch artystyczny, król dopiero zaczyna gromadzić i powoływać na swój dwór artystów, ci zaczynają tworzyć i zakładać osobne szkoły, tak że dopiero w ostatnich latach Stanisława Augusta sztuka na dworze warszawskim dosięga swego szczytu, z wyżyn i z pałaców zstępuje nieco niżej do dworów szlacheckich i mieszczańskich. Z tego też czasu pochodzi pierwszy portret, pastelowy, znajdujący się w Bibljotece Ossolińskich we Lwowie, a znany z litografji wydanej przez *Wit. Kurnatowskiego* w Poznaniu około 1845 roku. (Patrz. Fig. 1.) Jest to zdaje się jedyny pastelowy portret Kościuszki wykonany w 1790 roku przez niewiadomego niestety artystę.

Fig. I.



Bibljoteka Ossolińskich we Lwowie

Oryg. pastelowy z 1790 r. Litogr. W. Kurnatowskiego w Poznaniu.

Nie odbiegł on jednak daleko od gustu swojej epoki. Na twarzy widzimy taki sam wyraz słodki i wdzięczny, jaki cechuje portrety Bacciarellego, Grassiego, Lampiego i innych, takie samo staranie ułożenia włosów w loki i żabotów na szyji, nadto chęć nadania twarzy jak najprzyjemniejszego wyrazu i zatarcia owej nieregularności rysów i zadar-

*) Znane portrety księcia rytowane przez Bartoloz[illegible]hna.

**) „Kościuszko“ wydanie Muzeum polskiego w Rapperswylu 1894 roku.

tego nosa, który zawsze był i jest powodem kłopotu artystów. Na pastelu z 1790 roku artysta zręcznie uniknął tego, rysując twarz prawie wprost, podobnie jak to później robił Grassi, zapewne z tych samych powodów.

Od tego czasu portrety zaczynają się mnożyć, z tego prostego powodu, że wzrasta też sława Kościuszki. Wszak był on wówczas jedyny, który skończył wojskową szkołę w Paryżu. Przyjechawszy 1774 r. z Francji do kraju, stał się głośny swym nieszczęśliwym romansem z Ludwiką Sosnowską później Lubomirską, z powodu czego wyjechał do Ameryki.

Udziałem w wojnie o niepodległość Ameryki, z której wyszedł jako jenerał brygadjer w 1783 r., wsławił się jeszcze więcej i znany już był w całym świecie. Czy jednak w czasach jego paryskich i amerykańskich powstał jaki portret, niewiadomo ; zdaje się, że nie. Obraz bowiem przedstawiający Waszyngtona jadącego w towarzystwie Kościuszki i Pułaskiego, o jakim wspomina prof. Korzon, pochodzi bez wątpienia z czasów znacznie późniejszych, nie odpowiada rzeczywistości i ma więcej historjozoficzne znaczenie. Po powrocie do kraju 1784 upłynęło znów kilka lat w cichości.

Nie znamy też żadnego portretu, mimo że Kościuszko bywał w różnych dworach przyjmowany n. p. u wojewody Niesiołowskiego, w Puławach u ks. Czartoryskich, nawet w Warszawie u króla. Portret pastelowy z 1790 r. wyżej opisany, jest zapewne także pierwszym wogóle jego portretem. Należy do serji portretów pastelowych, przedstawiających wybitne osobistości z czasów sejmu czteroletniego, jak Ign. Potockiego, H. Kołłątaja i innych.

W tym roku bowiem 1790 stał Kościuszko ze swem wojskiem jako jenerał major na Wołyniu w okolicy Równego i Brodów, gdzie znów zakochał się nieszczęliwie w p. Tekli Żurowskiej. Ciekawem jest, że nawet wtedy ojciec panny nie widział w jenerale nic obiecującego, cóż więc mówić o artystach ówczesnych, którzy malując króla i jego kochanki, nie zwracali uwagi na tak podrzędne figury, jak jenerałowie Rzeczypospolitej.

Ciekawa jest jeszcze ta okoliczność, że wszystkie prawie oryginalne portrety jego, robili własni jego znajomi lub gorący wielbiciele n. p. Grassi, Kapeller, Stachowicz, Gröll, Orłowski i inni i to nie dla niego, lecz albo dla zysku albo dla siebie na pamiątkę. Jaskrawym tego przykładem jest rysunek piórkiem ks. generałowej ziem podolskich, znajdujący się w zbiorach Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie (Fig. 2.).

Kościuszko tak w czasie kampanji 1791 roku, jak i potem począł coraz więcej bywać po magnackich domach, gdzie sztuka była naówczas modną a nawet w towarzystwach konieczną. Wiele nadzwyczaj utalentowanych artystek-amatorek wi-

Fig. 2.



Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie
Rysunek piórkiem ks. Izabelli Czartoryskiej z 1792 r.

dzimy po najpierwszych domach w Polsce, jak n. p. Jeannetta Tyszkiewiczówna, Beata z Potockich Czacka, Walerja ze Strojnowskich Tarnowska i inne. W szeregu prac B. Czackiej wylicza Rastawiecki także nieznany skądinąd portret Kościuszki (III. 172).

W rzędzie tych dam była i ks. *Izabella Czartoryska*, żona generała ziem podolskich, rezydująca w Puławach, dokąd zjechał na krótko Kościuszko, po skończonej kampanji 1792, wziąwszy dymisję, zrozpaczony i przybity nieszczęściami krajowemi!

Zapewne też z tego powodu położyła księżna pod rysunkiem napis: *dobry i waleczny, ale nieszczęśliwy*. Rysunek pojęty w duchu panującej epoki, przedstawia w profilu głowę z szyją klasycznie uciętą, z rysami mającemi większe cechy podobieństwa, niż poprzedni obraz pastelowy *) (C. d. n.)

*) Patrz „Świat“ z 1894 r. N. 8. artykuł p. Deichesa. Ponieważ rysunek tam umieszczony ma zupełnie inny wyraz twarzy, niż na oryginale, przeto pozwalam sobie dać jeszcze raz jego reprodukcję nieco wierniejszą.

ELIZA ORZESZKOWA.

5)

DZIWNA HISTORJA.

(Ciąg dalszy.)

Ta wzgarda z jednej strony i ta zawiść z drugiej, które leżały na samem dnie wzajemnych dla siebie uczuć tych dwóch ludzi, pozostałyby pewnie bierne i niewypowiedziane na zawsze, gdyby nie wzmagał ich, nie rozjątrzał i ostatecznie do krzyku nie pobudził wypadek, którego ja byłam przyczyną.

Ach, nie myśl, że był to krzyk rozgniewanego grubiańskiego głosu! Byli obaj ludźmi dobrze wychowanymi i najlżejsze podniesienie głosu, żadne słowo obraźliwe czy obelżywe, nie dosięgło pokoju sąsiedniego, z za zamkniętych drzwi pracowni mego brata. I dziwnie krótko trwała tocząca się za temi drzwiami rozmowa; i nie wiem, w której sekundzie tych kilku minut padł grom, ze zwarcia się tych dwóch chmur wystrzelony...

Ale gdy drzwi się otworzyły, zobaczyłam na twarzy człowieka kochanego porażenie od gromu. Coś osłupiałego i razem namiętnie obrażonego, coś złego i razem tragicznego rozlewało się po jego śmiertelnie zbladłej twarzy i świeciło w sztyletach oczu bolesnych i ostrych.

Rzuciłam się ku niemu, ale gestem ręki powstrzymał mię zdala od siebie i białemi wargami wyszeptał.

— Tutaj... nie! Pod dachem tego człowieka.. nigdy! Jeżeli wytrwasz, jeżeli zechcesz, to gdzieindziej...

Nie miał prawie oddechu w piersi. Nieprzytomnie prawie ścisnął mi mocno obie ręce, zdaje się że bez łez załkał i wybiegł z domu.

Stanęłam przed bratem cała w drżeniu i w płomieniu, zamierającym głosem pytając co mu powiedział?

Tak samo jak tamten blady i w oczach rozgorzały, ale zawsze panujący nad sobą, zawsze silny i stanowczy, nic mi nie powtórzył, z niczego się nie tłómaczył, tylko z wielkim spokojem w postawie i głosie rzekł, że łacniejby umarł, niżby przystał na to, abym została żoną tego — łotrzyka.

Nie odpowiedziałam ani słowa, lecz nazajutrz nie byłam już pod dachem swojego rodzinnego domu. Byłam pod dachem swojej blizkiej krewnej, kobiety nieskazitelnej, ale wyrozumiałej, kochającej mię, łagodnej. Było to owo „gdzieindziej“, o którem w tej strasznej chwili wspomniał i za które, po dniach paru, z radością niewypowiedzianą, z wdzięcznością bez granic, na klęczkach mi dziękował.

Trwałam więc. Pomimo, że każde wspomnienie o bracie rozdzierało mi serce, trwałam w uczuciach swoich i w zamiarach, i nadewszystko, — o Boże! Tyś wiedział, że nadewszystko, trwałam w pragnieniu, w namiętnem i zachwyconem pragnieniu ratowania, wznoszenia, zbawiania tej duszy ukochanej, tak słabej i razem tak silnej, tak poplamionej i tak za czystością stęsknionej, która wszystkie swoje słabości, siły, plany i tęsknoty tak prosto i szczerze, pokornie i wzniośle zwierzyła sercu memu i dłoniom mym powierzyła, pomocy ich wzywając.

Ale w maju nie wzięłam ślubu, bo właśnie gdy po lasach rozkwitły róże dzikie, brat mój i on zniknęli mi z oczu. Porwał i uniósł ich wicher wypadków. Wtedy to imię brata mego rozebrzmiało po świecie sławą krótką lecz głośną i świętą...

Nie powiedziałam ci zaś jeszcze, jak nazywał się tamten. Odwróć oczy! Nie patrz na mnie, gdy imię to wymawiać będę... A gdy wymówię je, miej litość!...

Stefan Niegirycz . . . .
. . . .
. . . .
. . . . . Nie miałam litości i krzyknęłam:

— Zdrajca! . . . .
. . . .

A ona, jakby wiedziała, że cios tego słowa spaść na nią musi, ani drgnęła, tylko na długą chwilę umilkła; poczem z westchnieniami czarnej nocy złączył się znowu jej cichy głos.

— Że miał w przyszłości stać się czem innem jeszcze, o tem wiemy dotąd my dwoje, ja i mój brat, a ty, dowiesz się zaraz. Ale prawdą jest, co powiedziałaś. Zdradził towarzysza i wodza swego, którym był brat mój. Stał się przyczyną srogich cierpień i śmiertelnych jego niebezpieczeństw. Imię swoje od pierwszej do ostatniej zgłoski, okrył hańbą.

Co nim spowodowało w tej chwili fatalnej, gdy przed ludźmi mającymi rozstrzygać losy ich obydwóch, stał się tak wszystkomównym? Trudno rozbierać i straszno dochodzić.

Podobno w tych grubych ścianach, wśród których przebywali razem, co chwila wybuchały po-

między nimi spory krótkie, lecz śmiertelne, jak zatrute ostrza, padały słowa, raniące srożej od kul i mieczy... Alboż wiem wszystko? Domyślam się tylko wielkości obrazy po okropności zemsty. Domyślam się też rozstroju nerwów i mózgu, nagle przerzuconych z szampańskiej czary użycia w cykutę trwóg i udręczeń? Nikt mi o tem nie powiadał dokładnie. Jedne tylko usta, raz jeden miały odwagę część winy przypisać ofierze zbrodni... Może nie myliły się. Nie wiem. Niech Bóg to osądzi!

Odzyskawszy możność rozporządzania się swoją osobą i swoim majątkiem, opuścił strony rodzinne i zniknął. Z początku ten i ów jeszcze, tu lub ówdzie zobaczył go lub o nim usłyszał, lecz po paru latach zginęła wszelka wieść. Może na drugą półkulę świata odjechał, może umarł. Nie wiedział nikt i nie dowiadywał się nikt. Lżej staje się ziemi i piersiom ludzkim, gdy taki człowiek znika.

(C. d. n.)

Spór o dwu Zimorowiczów.

Zasłużony i sumienny biograf Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów, głęboki przytem znawca literatury XVII. wieku, a specjalnie źródeł archiwalnych, odnoszących się do wspomnianych wyżej poetów, dr. Korneli Juljusz Heck wystąpił niedawno w „Przeglądzie Powszechnym“ z twierdzeniem, że prześliczne i coraz wyżej cenione „Roksolanki“, przypisywane dotychczas Szymonowi Zimorowiczowi, nie są jego dziełem, ale starszego brata Józefa Bartłomieja, znanego burmistrza-poety i historyka lwowskiego.

Przeciwko twierdzeniu temu wystąpili z wielkim zapałem polemicznym dwaj młodzi historycy literatury pp. Kazimierz Jarecki i Jan Pliszewski w „Pamiętniku literackim“, wobec czego p. K. J. Heck uznał za stosowne w najnowszej swojej pracy, pt.: „Kto jest autorem Roksolanek pod imieniem Szymona Zimorowicza wydanych“ wylać na głowy swych adwersarzy cały kubeł zimnej wody, w formie argumentów i dowodów archiwalnych.

Powstał więc zupełnie formalny „spór o dwu Zimorowiczów“. Dotychczasowym wynikiem jego jest udaremnienie trzechsetnego jubileuszu urodzin Szymona Zimorowicza, który miał być uroczyście obchodzony w ubiegłym roku, a ostatecznym celem wykrycie prawdy, osłonionej zbiegiem fatalnych okoliczności, a nawet rozmyślną mistyfikacją.

Wszystko się składało na ten galimatias historyczno-literacki, nawet fatalny błąd korektorski w „Monumentach“ Starowolskiego, popełniony przy przepisywaniu tablicy nagrobkowej Szymona Zimorowicza, znajdującej się w kościele Dominikanów krakowskich. Dzięki nieuwadze przepisywacza, czy też korektora, zamiast 20 lat życia, przypisano Szymonowi Zimorowiczowi lat 25, co stanowi w literackiej działalności znaczną różnicę, gdyż jak słusznie twierdzi dr. Heck, dwudziestoletni młodzieniec nie miał po prostu czasu na stworzenie dzieła nietylko pod względem artystycznym skończonego, ale i głęboką erudycją współczesną się odznaczającego.

Największe jednak zamieszanie do literatury wprowadził właśnie starszy brat Szymona, Józef Bartłomiej Zimorowicz, który w r. 1654 i 1663, wstępując po raz wtóry i czwarty w związki małżeńskie, wydał swoje Roksolanki i Sielanki pod imieniem młodszego brata. August Bielowski odkrył mistyfikację co do Sielanek, a to samo odnośnie do Roksolanek czyni obecnie dr. Heck.

Ale co było powodem, że Józef Bartł. Zimorowicz tak bardzo wstydził się autorstwa dzieła, które by mu samo zdolne było zapewnić nieśmiertelność. Miał do tego jednak wcale ważne powody. Oto bowiem poważny burmistrz, rajca i kronikarz, zaplątał się Józef Bartłomiej Zimorowicz pod koniec szóstego krzyżyka w sidła amora i miał dość tragiczny romans z młodą wdówką Rozalją Grozwajerówną, jakiego by i młodzieniaszek nie powstydził się, miał też skutkiem tego, jako poważny dygnitarz miejski bardzo ważne powody do starania się, by piosneczek mocno pachnących tym romansem nie łączono z nazwiskiem podeszłego wiekiem rajcy, wójta i burmistrza lwowskiego.

Znana z elegancji, bogactwa i zalotności córka zamożnego doktora medycyny i rajcy lwowskiego Marcina Grozwajera, tego samego, który sprawował urząd burmistrza podczas oblężenia Lwowa przez Chmielnickiego i okazał tyle nieustraszonej odwagi, Rozalja owdowiała zaledwie w kilkanaście tygodni po ślubie z Franciszkiem Złotorowiczem i jako młoda wdówka, otoczona rojem wielbicieli, mieszkała we Lwowie. Stary Grozwajer niespokojny o los córki postanowił ją wydać za człowieka statecznego, a takim był właśnie Bartłomiej Zimorowicz, który również podówczas owdowiał, po 24-letniem pożyciu z pierwszą swą żoną Katarzyną Duchnicówną.

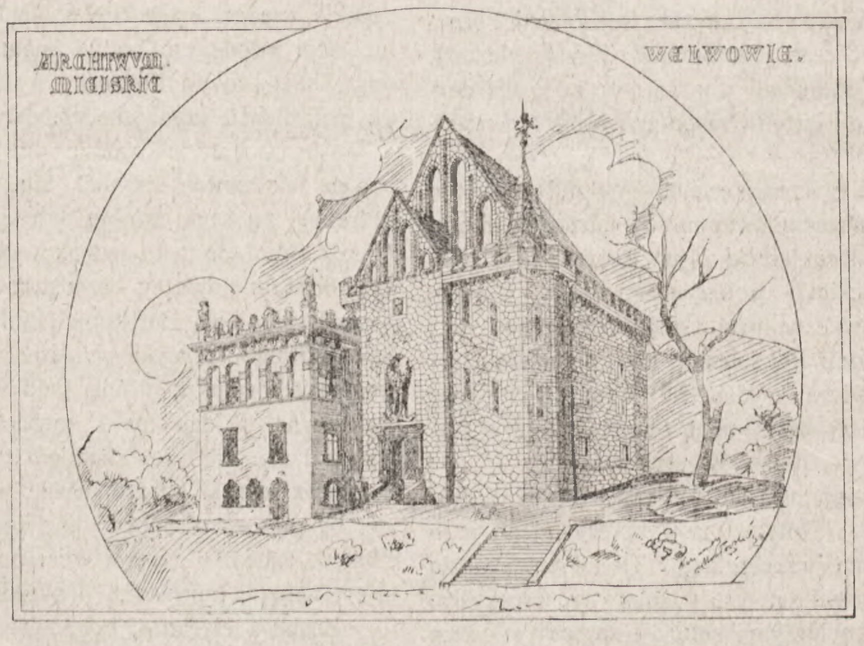
Młodej, pięknej wdowie — elegantce nie mógł się podobać podstarzały Rozymund, który rozpoczął zaloty nie żartem, bo czynił podarunki a nawet spiewał swej lubej piosenki i grał jej na pozytywie i klawikordzie. Były to, jak przypuszcza dr. Heck właśnie Roksolanki, których Rozalja słuchała chętnie, a nawet przy łożu śmiertelnem ojca zaręczyła się z Zimorowiczem. W kilka jednak miesięcy po śmierci starego Grozwajera, Rozalja dała stanowczego odkosza podtatusiałemu adoratorowi, a ten „na złość" ożenił się natychmiast z Zofją De Zacharjaszówną, córką De Zacharjasza Awedykowicza Ormianina.

Los jednakże sprawił, że druga małżonka zmarła po dwuletniem pożyciu z mężem, a Rozalja tymczasem spoważniała do tego stopnia, że oddała swą rękę Zimorowiczowi.

Owocem tych romantycznych spiewów podstarzałego Rozymunda, tej gry na pozytywie i klawikordzie były właśnie Roksolanki, które Józef Bartłomiej Zimorowicz wydał pod imieniem brata swego Szymona.

Wprawdzie zgorszony p. Jarecki woła, że jest niepodobieństwem, aby człowiek tak poważny i dobroduszny jak „Imć Pan Bartłomiej" mógł się puszczać na pozytywy i klawikordy, ale dr. Heck odpowiada mu, że „w starym piecu djabeł pali", a na dowód cytuje złożone pod przysięgą przed sądem ławniczym zeznania długoletniej służącej Grozwajerów „że Józef Zimorowicz po śmierci „konsula" i zaręczynach odbytych przy śmiertelnem tegoż łożu, bywał bardzo częstym gościem u Rozalji, przyniósł jej pozytyw i na nim i na klawikordzie wygrywał piosenki". Ten też pozytyw i klawikord odnalazły się istotnie w inwentarzu ruchomości Józefa Bartłomieja.

Na tej podstawie i na podstawie ścisłej i drobiazgowej krytyki literackiej, dochodzi dr. Heck do wniosku, że autorem Roksolanek jest nie Szymon, ale Józef Bartłomiej Zimorowicz. *F. J.*



PLAN ADAPTACJI BASZTY PROCHOWEJ NA ARCHIWUM
projekt inż. K. Mokłowskiego.

Kwestja archiwum.

Sprawę umieszczenia Archiwum miejskiego we Lwowie nazywamy kwestją, gdyż poczyna ona poruszać umysły członków Rady miejskiej, a przed forum publiczne całego miasta wprowadziła ją świeżo wydana broszura dra A. Czołowskiego p. t.: „W sprawie umieszczenia Archiwum i Muzeum historycznego miasta Lwowa". Dla samej instytucji jest to bardzo dobrze, że byt jej dalszy i rozwój stał się kwestją ogólnie obywatelską, gdyż w ten sposób jest nadzieja, że zakończy się raz to prowizorjum archiwalne, stanowiące wstyd dla kulturalnych i cywilizacyjnych aspiracji Lwowa. O samej sprawie pisaliśmy już poprzednio, a mianowicie o tem, że w ostatnich czasach wyłonił się projekt równie niefortunny, jak szkodliwy umieszczenia Archiwum miejskiego w tyl

nej części gmachu miejskiego Muzeum przemysłowego.

Broszura dra Czołowskiego występuje przeciw temu pomysłowi, z całym zasobem argumentów takich, że każdy z nich osobno byłby już wystarczającym, aby raz na zawsze uniemożliwić to, po prostu, bagatelizowanie zbiorów archiwalno-muzealnych, bezcennych dla przeszłości miasta naszego.

Podnosi mianowicie autor przedewszystkiem brak bezpieczeństwa ogniowego w proponowanym dla Archiwum lokalu, a tu nawet mimo betonowych stropów, gdyż bezpośrednio nad ubikacjami, gdzie mają być pomieszczone najcenniejsze zabytki archiwalne, znajduje się prywatne mieszkanie dyrektora Muzeum przemysłowego z drewnianą posadzką, obok głównego wchodu znajduje się mieszkanie woźnego z palowiskiem kuchennem, a wreszcie ubikacje dolne, przeznaczone na archiwum, połączone są z górnemi, gdzie ma być muzeum — schodami drewnianemi, które podszalowane są drewnianą ścianką imitującą pomalowaniem mur.

Drugą wadą jest brak dostatecznej przestrzeni na systematyczne rozmieszczenie całej zawartości zbiorów i biur dla ich zarządu, w proponowanym lokalu. Według dokładnych pomiarów możnaby tam ustawić 102 metry kwadratowe, półek. Archiwum zaś w dzisiejszym stanie potrzebuje 180 metrów kwadr. pionowej powierzchni, na pomieszczenie samych archiwaljów, z których część w dotychczasowym lokalu w ratuszu zajmuje 95 metr. kw. ścian, reszta zaś złożona jest na ziemi kupami. Nowy lokal, byłby zatem „obszerniejszy“ od starego o 7 kw. metr.

Wobec tego woła dr. Czołowski: „Gdzież więc ową resztę pomieścić w nowym lokalu? Gdzie w nim znaleść miejsce na dalsze przybytki i na akta, które należy jeszcze uratować od zbutwienia z piwnic ratuszowych a inne wyłączyć z registratury i włączyć do archiwum? Gdzie umieścić bibljotekę liczącą 5.000 tomów? Gdzie umieścić zbiór planów, druków ulotnych, a zwłaszcza czasopism, na które już teraz potrzeba osobnej sali“?

W ten sposób wymienia autor cały szereg dalszych braków, które wszystkie razem stanowią prawdziwy akt oskarżenia przeciwko tym, w których głowach uroił się podobny projekt. Sama broszura obecnie nie może być milczeniem pominięta i musi stanowić przedmiot rozważnych i spokojnych rozpraw na Radzie miejskiej.

Równocześnie objawia się tendencja stworzenia na pomieszczenie Archiwum miejskiego gmachu osobnego, monumentalnego, a to mianowicie przez adaptację t. zw. baszty prochowej na Wałach Gubernatorskich. I o tej sprawie już pisaliśmy, obecnie zaś dodatkowo podajemy projekt adaptacji według planów inżyniera p. Kazimierza Mokłowskiego. Wystarczy spojrzeć na ten poważny i piękny projekt, a równocześnie przypomnieć sobie dzisiejszy stan baszty prochowej, a wszelkie komentarze okażą się zbytecznymi. Jeżeli z obszarpanej rudery, nie wielkim stosunkowo kosztem można utworzyć na pomieszczenie Archiwum gmach, który pod każdym względem byłby monumentalną ozdobą miasta naszego — toć ten, któryby się sprzeciwiał temu, nie miałby chyba ani krzty umiłowania własnego miasta i jego przeszłości.

FELIKS GWIŻDŻ

Wiosna.

Hej! nadchodzi święta wiosna, z pośród szarych
[idzie mgieł
I uśmiechem w pola woła wszystką ziemi wierną
[brać —
Oszczędzałem przez tę zimę, gromadziłem, ma-
[łom mełł,
Głód cierpiałem, byle z wiosną było co w tę
[ziemię wsiać.

I choć biedak, mam czem obsiać... Mam w są-
[sieku żyta wór
I dość sporą garść pszenicy, przeczyszczonej
[z wszelkich plew,
A choć mi już tak wypada: siać na twardych
[skałach gór,
Wierzę w plony... bom pod zasiew dał serdeczną,
[własną krew.

I radosny, jak to słonko, co se idzie popod las,
Kroczę pośród mych zagonów nadchodzącej
[wiośnie rad
I tak myślę, że już pora, że potemu wielki czas,
Żeby obsiać puste łany... Hej! wychodźcie
[siewcy z chat!...

Książnice prywatne.

Od dawna słyszeć się daje zdanie, że zbiory prywatne, żadnej nie mają wartości, że każdy posiadacz lada jakiej starej książki, monety, lub medalu biedz powinien natychmiast do których z bibljotek publicznych lub muzeów i ofiarować je na użytek publiczny. Zapatrywanie mylne o tyle, że kolekcje prywatne, są przecież podstawą zbiorów publicznych, że wyrabiają i wśród osób prywatnych zamiłowanie do książek itp szerzą kulturę, a ostatecznie, po śmierci dajmy na to właściciela, znowuż się rozbijają pomiędzy amatorów a także i bibljoteki publiczne.

Bibljoteki publiczne, mimo całej swojej, a ogromnej wartości cywilizacyjnej, posiadają wiele niedogodności, którym zbiory prywatne zaradzają w sposób znakomity, dając możność studjów, bez względu na godziny urzędowe, a gdy się do tego doda brak odpowiednich pracowni w wielu bibljotekach publicznych, to potrzeba książnic prywatnych stanie się rzeczywistą.

Na pytanie, jakie powinny być książnice prywatne, znajdujemy odpowiedź w jednym z ostatnich numerów Warszawskiej „*Gazety polskiej*“:

„Bibljoteka prywatna z dwóch części składać się winna: w pierwszej, ogólnej, mają się znaleźć podręczniki, encyklopedje, słowniki, atlasy i t. p., bez których, przy dzisiejszym stanie wiedzy, czytanie z korzyścią jest prawie niemożliwe; jako uzupełnienie ich, wielkie usługi odda komplet jednego z poważnych wydawnictw perjodycznych; do tej części należy też możliwie pełny zbiór pisarzy klasycznych, przedewszystkiem swojskich, a następnie obcych. Część druga, — specjalna, istotną część bibljoteki prywatnej stanowi, składać się ona będzie z książek, wchodzących w zakres tej dziedziny wiedzy, która zbieracza specjalnie obchodzi, tutaj najdrobniejsze i najmniej ważne wydawnictwo będzie na miejscu; ma ono swoje znaczenie, świadcząc choćby o tem, że ten lub ów autor sprawą daną się zajmował i tak, czy inaczej na nią się zapatrywał; choć z punktu widzenia ogólnego takie wydawnictwo może nie mieć znaczenia, bo w danej kwestji nic nowego nie daje, dla kogoś co się nią specjalnie zajmuje jest dokumentem, którym pogardzić nie wolno. I na tym właśnie możliwie kompletnem zebraniu literatury dotyczącej pewnej sprawy polega znaczenie bibljotek prywatnych, polega zadowolenie, jakie sprawia tworzenie czegoś, budowanie zaokrąglonej całości.

Zbiory prywatne byłyby niewystarczające gdyby nie znalazło się w nich kolekcji rycin, fotografji, albumów, dzieł ilustrowanych, które pominąwszy to, że mogą się przydać w czytaniu samem, uprzyjemnią chwile, kiedy umysł zmęczony w ich przeglądaniu pożyteczną znajdzie rozrywkę.

Wspomniałem na początku, że zbiory prywatne umiejętnie gromadzone, posiadają znaczenie ogólne, a posiadają je dlatego, że są poniekąd uzupełnieniem zbiorów publicznych. Dzisiaj, kiedy bibljoteki publiczne jeszcze się nie specjalizują, nie mogą one pewnych dziedzin wiedzy, pewnych spraw i kwestji uwzględniać więcej niż innych, nie mogą i nieprędko będą mogły robić to, co mimowoli robi zbieracz prywatny — poszukiwać, i tak poszukiwać, jak on poszukuje, druków w pewnej poszczególnej sprawie, a nie tylko nie mogą, ale i nie potrzebują — bo zastępują je tutaj książnice prywatne. Bibljoteka publiczna im więcej posiada druków, bez względu na ich treść, im lepiej są one przechowane i ułożone, tem jest więcej warta, bibljoteka prywatna zaś im lepsze w części swej ogólnej ma książki, im kompletniejszy ma dział specjalny, tem większe usługi oddać może właścicielowi, tem większe znaczenie z punktu widzenia ogólnego posiada.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

O Rosji, napisał Wilhelm Feldman. Kraków 1905. Na kilku arkuszach druku pomieścił p. Feldman obserwacje poczynione w czasie jednomiesięcznego pobytu swego w Rosji w ostatnim czasie. Jestto praca na wskróś publicystyczna, z pewną domieszką ogólniejszych nieco charakterystyk ludu i prądów. Napisana z wielkim talentem i w skończonej formie zasługiwała ta rzecz na osobne odbicie, tembardziej, że same fakta zginąć by mogły w dziennikarskiej powodzi. Rewolucyjny nastrój dzisiejszej Rosji odmalowany jest w książce barwami żywemi, a taka naprzykład charakterystyka Wittego lub Światopełka Mirskiego, obok nieznanych szczegółów, zebranych przez autora na miejscu, uderza wprost swoją siłą i prawdą, wyjaśniając wiele dotychczas niezrozumiałych czynów tych ludzi, których wypadki o całą głowę przerosły.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego, we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.